Nr. 21 (porz. 203.) Krakow, sobota d. 23. maja 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2. Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Rabusie kolejowi w Galicyi.

Przed kilkunastoma dniami przyjechała do Wiednia pewna kobieta z Krakowa i chciała sprzedać w sklepie drogie kamienie. Kobietę zatrzymano i zaczęto badać, skąd ona ma te klejnoty i dyamenty. I wygadała wszystko. Opowiedziała ciekawą historyę, oto nie mniej, nie więcej — tylko, że pośród konduktorów i nadkonduktorów kolejowych w Dyrekcyi krakowskiej utworzyła się banda rabusiów, która rabowała pociągi, rozbijała kufry i przesyłki, zabierała pierścienie, kolczyki, broszki, korale, branzolety, wyłamywała drogie kamienie, zabierała jedwabie — to trwało cały szereg lat. Przedewszystkiem rabowali kufry podróżnych z Królestwa i Rosyi. Zrabowane rzeczy sprzedawali w Wiedniu. Prowadzili życie dobre. Jeden z rabusiów założył wielką piekarnię, miał skład fortepianów w Przemyślu, trzymał dorożki, był współpracownikiem »Głosu Narodu« w Krakowie, pożyczał pieniądze; inni budowali domy — to wszystko wiedziała Dyrekcya i nikt nie zapytał, skąd ci ludzie mają tyle pieniędzy, gdy pensya konduktora zaledwie nie pozwala umrzeć z głodu? Dzisiaj bandę złapano, siedzi pod kluczem u św. Michała, reszta jeszcze chodzi wolno, bo jak napisała »Nowa Reforma«, gdyby wszystkich zamknięto, toby chyba pociągi przestały kursować. — Hańba spadła na kraj nasz przez tych łotrów i rabusiów, co się cieszyli największem zaufaniem u swoich przełożonych, których dawano za wzór. Rabusiów stawiano za wzór!

To wprost niesłychana rzecz, żeby nie było żadnej kontroli. Haniebny i wprost u nas nie do wytrzymania panuje system, kontroluje się wychodki, a niema kontroli nad majątkiem podróżnych. Przez Galicyę nikt nie zechce jechać wskutek ciągłych kradzieży, rozbijania i rabowania. W żadnej Dyrekcyi niema tyle kradzieży, co w Dyrekcyi krakowskiej. Ministerstwo powinno w to wglądnąć. Powinno się zapytać, dlaczego tutaj nie zmieniano konduktorów? Dlaczego jedni i ci sami lata całe jeździli po jednej linii, dlaczego ich nie dawano co trzy miesiące — jak jest gdzieindziej — do pociągów towarowych, potem znowu do innej służby — ale zostawiano ich długie lata i tem samem dano sposobność do zorganizowania bandy rozbójniczej. I ci rabusie mieli największe szczęście, uchodzili za najlepszych katolików, za ludzi zacnych, dawano im pochwały i awanse. Jeżeli ma być inaczej, a musi być inaczej, to w Dyrekcyi krakowskiej trzeba zrobić porządek; zostawić ludzi uczciwych i pracowitych, bo tych nie brak, a wymieść śmiecie, usunąć niedołęgów — wpuścić trzeba trochę świeżego powietrza — i raz położyć kres hańbie, która nie tylko okrywa instytucyę, ale odbija się złowrogo na kraju i społeczeństwie. Radykalnych środków oczekujemy od Ministerstwa kolejowego.

Do naszych Czytelników.

Z numerem dzisiejszym wstrzymaliśmy wysyłać gazetę tym, którzy dotąd nie zapłacili prenumeraty. Dłużej na pieniądze czekać nie możemy. Kto chce, aby mu napowrót zacząć gazetę posyłać, niech zaraz zapłaci i niech napisze, których numerów nie otrzymał, to mu się zaraz wyśle.

Nowych prenumeratorów przyjmujemy ciągle i płacić można każdej chwili. Każdy nowy Czytelnik, który zapłaci **5** Koron, nabywa po upływie **6** miesięcy od dnia zapłacenia prenumeraty prawa, aby wdowa po nim lub sieroty otrzymały zapomogę. Zapomoga wynosi od **25** do **100** Koron, zależnie od uznania komisyi zapomogowej. Pieniądze nadsyłać należy pocztą pod adresem: Administracya »Obrony ludu« w Krakowie, ulica Pijarska l. 2.

Bóg mnie ocalił!

(Dokończenie.)

Do tego nieszczęścia przyłączyło się drugie, nierównie groźniejsze. W czasie burzy wściekły wicher zwalił główny skład zboża i ziarno rozniósł po polach. Zagrażał więc nam głód, gdyż pozostałe resztki żywności nie mogły wystarczyć na zimę dla 200 mieszkańców miasteczka. Tem bardziej, że z powodu wczesnego zamarznięcia morza nie można było zrobić zapasów solonego mięsa

z psów morskich, które stanowi główny pokarm mieszkańców wyspy Grenlandyi w porze zimowej.

Nastała zima tak silna, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Niedźwiedzie białe i wilki, nie mogąc znaleźć nigdzie pożywienia, podsuwały się wśród dnia pod same miasteczko, napełniając przeraźliwem wyciem powietrze.

Wraz z zimnem ludzie zaczęli mrzeć w sposób zastraszający; nie było dnia, żeby jedna, dwie, lub trzy osoby nie umarły, tak, że z nastaniem wiosny zaledwie szósta część ludności została przy życiu, a i ci nieszczęśliwi, wycieńczeni zimnem i głodem, raczej do widma, aniżeli do żywych ludzi byli podobni.

Pewnego dnia, do ostatniej prawie przywiedzeni rozpaczy, wysłaliśmy z pomiędzy siebie kilku ludzi po żywność do najbliższego miasta; napróżno jednak oczekiwaliśmy ich powrotu — ludzie ci zniknęli bez śladu; zapewne zmarzli w drodze i pożarci zostali przez dzikie zwierzęta.!

W miarę, jak kończyły się zapasy żywności, choroby zaczęły grasować z podwójną wściekłością — ludzie marli, jak muchy; wreszcie przyszło do tego, że z całej ludności ja tylko jeden pozostałem... Wśród opustoszałego miasteczka sam jeden błądziłem, szukając resztek pożywienia; w sercu mojem gościła odrobina nadziei, że skoro dni cieplejsze nastaną i morze puści, okręty zaczną przypływać do Farewelu.

Ale chociaż był to już koniec maja, upragniona wiosna nie nadchodziła, a morze przedstawiało jedną niezmierną taflę lodu. Po kilku dniach ogarnęła mnie obawa, a jeszcza bardziej niewypowiedziana tęsknota, tak, że niepodobna mi było oczekiwać bezczynnie na miejscu. Wybrałem więc dobre sanie, wypakowałem je wszystkiem, co posiadałem, a przedewszystkiem zabrałem nieco mąki z kości rybich i parę flaszek wódki, które udało mi się odnaleźć w opustoszałych mieszkaniach, a zaprzągłszy do sani dwa psy pociągowe, puściłem się na odszukanie siedzib ludzkich.

Ponieważ śnieg od nieco już łagodniejszych promieni słonecznych schropowaciał, zwróciłem sanie na zamarznięte morze i odbywałem podróż po lodzie. Pomimo osłabienia codzień mogłem ujść parę mil, a noclegi odbywałem pod strażą wiernych psów moich w namiocie, który wiozłem na saniach.

Trzeciej nocy obudził mnie ryk straszny, pochwyciłem strzelbę i wybiegłem z namiotu. Dwa białe niedźwiedzie porwały psy moje. Wymierzyłem do jednego, ale kula lekko go tylko zraniła. Potwór porzucił psa i rzucił się na mnie, lecz natrafiwszy na słabe miejsce na lodzie, załamał się i poszedł pod krę. To mnie tylko ocaliło od śmierci. Nagle dokoła rozlegać się zaczęły straszne, szybko po sobie następujące huki. To lody pękały. Ogromna kra, na której znajdowałem się, zaczęła poruszać się z miejsca. Przerażony do najwyższego stopnia, spodziewałem się, że lada chwila morze mnie pochłonie.

Gwałtowny prąd morski zaczął poruszać całe masy spękanych lodów; kiedy dzień zajaśniał, znajdowałem się na pełnem morzu, otoczony dokoła mnóstwem kry i gór lodowych. Nie było najmniej-

szej nadziei ocalenia; tem bardziej, że żywność, jaką posiadałem, mogła mi z biedą wystarczyć zaledwie na trzy dni, tylko napotkanie na drodze okrętu mogło wybawić mnie od zguby, ale tego nie mogłem się spodziewać, gdyż morze nie oczyściło się jeszcze z lodów.

Nadszedł wieczór. Modliłem się gorąco, polecając duszę moją Bogu. Podczas nocy kra, na której płynąłem, odłączyła się od innych i płynęła swobodnie po pełnem morzu — zmniejszyła się więc obawa zgruchotania przez lody. Popychany prądem, płynąłem tak szybko, jak statek żaglowy pędzony wiatrem. Głód i zimno dokuczały mi straszliwie.

Zapadła noc, straciłem wszelką nadzieję ocalenia; możecie sobie wyobrazić, jaka to straszna dla mnie noc była! Po kilku dniach czeka mnie albo śmierć z głodu, albo też prądy morskie zapędzą mnie na wody cieplejsze, kra zmięknie, rozpadnie się w kawałki, stopi się, a ja zginę w otchłaniach morskich...

Ale oto dzień zaświtał. Słońce wzbiło się ponad gęstą mgłę, która zalegała zachodnią stronę widnokręgu — w oddali spostrzegłem ziemię... Radość moja nie miała granic, kiedy powoli rozpoznałem, że to są brzegi Islandyi, mojej ukochanej ojczyzny. Prąd z niezmierną szybkością pędził mnie ku brzegowi: poznałem zdala wybrzeża Grunany — Bóg mnie ocalił!

Stary rybak zamilkł — proboszcz ukląkł, a wszyscy poszli za jego przykładem, zasyłając do Pana zastępów gorące modły wdzięczności za cudowne ocalenie zacnego towarzysza od nieuniknionej śmierci.

Na sto 99 oszustów.

W Krakowie toczyła się rozprawa karna przeciwko kilku oszustom żydowskim. Podczas rozprawy wyszło na jaw, że na **sto kupców żydowskich 99 jest oszustów** — tak zeznał jeden główny świadek, Niemiec Kaufler, wezwany na rozprawę.

Kaufler zeznał, że przez **300** dni w roku zajmuje się badaniem bankructw i zawieraniem ugód między wierzycielami (fabrykantami) a dłużnikiem upadłym (kupcem, zwykle izraelitą). Na sto bankructw w Galicyi — mówił p. Kaufler — jest dziewięćdziesiąt dziewięć oszukańczych!

Przysięgły p. Grabowski: Skoro tak źle jest z moralnością kupiecką w Galicyi, dlaczego kupcy wiedeńscy, berneńscy i inni kredytują kupcom galicyjskim?

Kaufler: Na to pytanie odpowiem bezstronnie, bo nad tą kwestyą sam często się zastanawiałem; nie jestem tu wcale interesowany, boć nie jestem ani kupcem, który daje kredyt, ani kupcem, który go bierze. Ostrzegam firmy, które zastępuję, przed udzielaniem kredytu w Galicyi, przedstawiam rzeczywisty stan rzeczy, ale nikt mi nie chce wierzyć. Tam na zachodzie — w Wiedniu, Gracu, Lublanie — zdarzają się także bankructwa, ale nie są klęską ekonomiczną dla wierzyciela, są tylko zwyczajnem zjawiskiem eko-

nomicznem. Tam dłużnik czując, że płacić nie może, zgłasza się do »Creditorenverein«, oddaje towary, majątek, księgi handlowe, korespondencyę. Tam cała kwestya jest jasna i czysta. W Galicyi inaczej: tutaj kupiec zaciąga z góry z zamiarem obrabowania wierzyciela, po sześciu dniach zmienia firmę... Księgi niszczy, towar i pieniądze ukrywa i nie dałby wierzycielom nic, gdyby nie groźba: prokurator, sąd, a wierzyciel, jeżeli nie chce stracić wszystkiego, bierze to, co mu dają.

Taką nam sławę robią żydzi — germanizują kraj i przed obcymi okazują, że Galicya, to sami złodzieje i oszuści. Na sto kupców żydowskich jest 99 oszustów.

Dynamitem.

Obecnie dochodzą wiadomości jaśniejsze o wybuchach dynamitowych, jakie przygotowali rewolucyoniści bułgarscy w Salonice, pragnący zrzucić z siebie jarzmo panowania tureckiego. Dnia 29. kwietnia wykonali oni 50 zamachów dynamitowych, jednak główny zamiar: spalenie całego miasta — nie został spełniony. Chodziło o wywołanie wybuchu w olbrzymim składzie nafty, skutkiem czego powstałby pożar i objął całe miasto, to się jednak nie udało i Salonika uniknęła nieopisanej katastrofy.

Potem zabrali się spiskowcy do wysadzenia w powietrze Banku otomańskiego. I tutaj z mrówczą pracą przygotowali wszystko jak najdokładniej. Naprzeciw gmachu, w którym się mieściły biura bankowe, stoi dom parterowy, a w nim pewien Bułgar przed sześciu miesiącami otworzył sprzedaż mięsa i wędlin. Sklep podzielony był zapomocą drewnianego przepierzenia na dwie części. W części frontowej znajdował się skład mięsa i wędlin, w części tylnej odkryto później wejście do podziemia.

Schodziło się najpierw do piwnicy, z której wiódł dalej chodnik podziemny, mający 1·85 metra wysokości, a 90 centymetrów szerokości. W dalszym biegu powałę chodnika podpierały silne słupki drewniane, ściany zaś jego były wyłożone deskami, ażeby zapobiedz osunięciu się ziemi. Gdy nazajutrz po zamachach dynamitowych policya odkryła ów chodnik, znalazła tam miechy, elektryczne przyrządy, lampy, druty, wogóle prawdziwy skład rozmaitych narzędzi.

Spiskowcy pracowali tedy przy świetle elektrycznem i, jak się zdaje, nie w nocy, ale w dzień, ażeby szmer podziemny nie doszedł uszu policyi lub przechodnia podczas ciszy nocnej. W ciągu dnia mogli pracować bez obawy zdradzenia się — silny bowiem ruch uliczny przytłumiał wszelki odgłos, który mógł się wydobywać z chodnika na powierzchnię ziemi. Ilu spiskowców pracowało nad kopaniem chodnika? Jak się zdaje, pracowało sześciu ludzi, po dwóch na odmianę. Jeden kopał, drugi usuwał ziemię i gruz. Reszta w swojej improwizowanej pracowni ciesielskiej obrabiała słupy i deski dla zabezpieczenia ścian chodnika.

Ale gdzie się podziała ziemia, której wykopano kilka tysięcy fur? Prawdopodobnie ziemię i gruz wynoszono do sąsiednich nieużywanych piwnic, a gdy je zasypano, wówczas dawano ziemię do małych worków, które zabierali Bułgarzy ze sklepu, jako mięso i wędliny. W ten prosty sposób wywiedziono w pole policyę i domowników. Gdy chodnik ukończono, zabrali się spiskowcy do instalacyi bateryi elektrycznej, a gdy baterya funkcyonować zaczęła bez zarzutu, przyniesiono do chodnika naboje dynamitowe, które w znacznej ilości umieszczono pod gmachem poczty i banku otomańskiego.

Wybiła wreszcie oznaczona z góry godzina zamachów. Ażeby zmylić ślady, grupa Bułgarów udała się przed gmach Banku otomańskiego i zaczęła rzucać bomby przez okna. Jedna zbyt silna bomba, która cały mur gmachu zburzyła, wstrząsnęła tak silnie ziemią, iż w chodniku został przerwany drut, łączący dynamitowe naboje z baterygą elektryczną, skutkiem czego dynamit pod ziemią wcale nie wybuchnął. Gdyby olbrzymie stosunkowo masy dynamitu były wybuchnęły w chodniku, cała część miasta koło Banku otomańskiego w jednej chwili byłaby rozpadła się w gruzy.

Dziki lud.

Na jednej, bardzo dalekiej wyspie azyatyckiej odkryto niedawno gromadę dzikich ludzi. Nazywają się oni Ainowie. Mieszkają w jaskiniach. Włosy ich są miękkie i wełniste, barwa skóry brunatna, czoło szerokie, ciało silne i dobrze zbudowane, zarost na brodzie i wargach bardzo bujny. Niektórzy są tak owłosieni, że włosy zastępują im w zupełności ubranie. Silne uwłosienie uchodzi wśród nich za ozdobę. Włosy na głowie i brodzie rosną im bardzo szybko; nie strzygą ich, ani nie czeszą nigdy.

Ponieważ liczba ciągle ich maleje, dlatego w niedalekiej przyszłości wyginą zupełnie. Są bardzo zabobonni i nie wychodzą nigdy bez pewnej liczby »bożych kijów« — zwyczajnych drzazg sosnowych, które przedstawiają dla nich bóstwa i mają zażegnywać niebezpieczeństwa. Aby się bogom przypodobać, należy pić wiele wódki ryżowej. — Wskutek tego wszyscy prawie mężczyźni są nałogowymi pijakami. Kobiety są stosunkowo skromne i pokorne, ponieważ wódka jest napojem za drogim, aby do jej picia dopuszczano także kobiety. Kobiety używają garnków i drewnianych łyżek, a po śniegu noszą trzewiki z rybiej skóry. Gotują najczęściej w japońskich kociołkach, zawieszonych na żerdzi; do środka wrzucają od razu wszystko: ryby, jarzyny, drób itd., poczem jedzą drewnianemi łyżkami. — Stare kobiety znajdują się w wielkiej pogardzie i sypiają w osobnych szałasach.

Wsie Ainów leżą wzdłuż wybrzeży, gdzie połów ryb jest bardzo ułatwiony. Kilka kolonij znajduje się także nad brzegami rzek w głębi lądu. Wnętrze kraju jest pokryte gęstym lasem, w którym żyje mnóstwo zwierzyny, wśród niej ogromne niedźwiedzie.

Ainowie uważają je za bogów, ale niemniej polują na nie z zapałem. Ziemia jest mało urodzajna, a klimat tak ostry, że zaledwie trochę ryżu rodzi się tu i owdzie, a i ten zabierają Japończycy.

Na niedźwiedzie polują Ainowie z nieustraszoną odwagą uzbrojeni w łuki i topory. Ostrza strzał zatruwają mieszaniną z rozmaitych ziół; ma ona własności trujące tak silne, że niedźwiedź trafiony umaczaną w niej strzałą, pada w ciągu kilku minut.

Przestroga dla jadących do Ameryki.

Sejm Stanów Zjednoczonych Ameryki uchwalił, żeby do Ameryki **nie puszczać** odtąd więcej nikogo, **kto nie umie czytać ani pisać** w swoim rodzinnym języku. Kto więc po polsku czytać i pisać nie umie, tego zawrócą z drogi. Dalej nie puszczą do Ameryki nikogo, co się nie wykaże **pewną kwotą pieniężną** na życie. Następnie najmniejszy **ślad choroby** jakiejkolwiek wystarcza, aby być odesłanym napowrót.

W styczniu z pośród **1700** osób, które przybyły do New-Yorku na okrętach Neckar (Brema), Waldersee (Hamburg) i Teutonic (Amsterdam) **zwrócono napowrót 231.** Z pewnością nieszczęście to spotkało i wielu naszych.

Dlatego radzimy tym wszystkim, którzy się wybierają do Ameryki, aby brali z sobą więcej pieniędzy i dali się zbadać lekarzowi. Lepiej stracić 5 złr., niż 150 lub 200 złr., bo tyle wynosi strata w razie zwrotu. Świadectwo lekarskie trzeba mieć ze sobą.

KRZYŻACKA MAĆ.

(Według powieści Sienkiewicza p. t. „KRZYŻACY“.)

(Ciąg dalszy.)

W ostatnich słowach brzmiała jakby ukryta groźba, dlatego Powała odrzekł poważnie:

— Bóg to da...

To powiedziawszy, skłonił się i odwrócił; poczem wzruszył ramionami i rzekł półgłosem, tak jednak, aby go najbliżsi słyszeli:

— Chuchraku! zdjąłbym cię z kulbaki ostrzem kopii i przez trzy pacierze dzierżył w powietrzu!

I począł rozmawiać z księżną, którą znał dobrze. Anna Danuta pytała go, co robi na gościńcu, on zaś oznajmił jej, że jeździ z królewskiego rozkazania, by utrzymać bezpieczeństwo w okolicy, w której z powodu wielkiej liczby gości, ściągających zewsząd do Krakowa, łatwo jakowaś zwada zdarzyć się może. I na dowód przytoczył to, czego przed chwilą sam był świadkiem. Pomyślaw-

szy jednak, że o orędownictwo księżnej za Zbyszkiem dość będzie czasu prosić wówczas, gdy okaże się tego potrzeba, nie nadawał zajściu zbyt wielkiego znaczenia, nie chcąc psuć wesołości. Jakoż księżna śmiała się nawet ze Zbyszka, że mu tak pilno było do pawich czubów — inni zaś, dowiedziawszy się o przyłamaniu kopii, podziwiali pana z Taczewa, że tak łatwo to jedną ręką uczynił.

On zaś cieszył się w sercu, że go sławią i sam wreszcie począł nieco opowiadać o swych czynach, które głośnem uczyniły imię jego szczególniej w Burgundyi na dworze Filipa Śmiałego. Raz on tam w czasie turnieju schwycił po skruszeniu kopii pewnego rycerza ardeńskiego wpół, wywlókł go z kulbaki i wyrzucił na wysokość kopii w górę, chociaż Ardeńczyk cały był zakuty w żelazo. Filip Śmiały ofiarował mu zato złoty łańcuch, a księżna aksamitny trzewiczek, który on dotąd na hełmie nosi.

Słysząc to, wszyscy wpadli w wielkie zdumienie, z wyjątkiem Mikołaja z Długolasu, który rzekł:

— Niema już w dzisiejszych zniewieściałych czasach takich mężów, jacy bywali za mojej młodości, albo takich, o jakich ojciec mi opowiadał. Zdarzy się teraz szlachcicowi rozedrzeć pancerz, naciągnąć kuszę bez korby, albo skręcić między palicami tasak żelazny, to się już mocarzem powiada, a nad innych się wynosi. A dawniej czyniły to i dziewki...

— Nie przeciwię ja się temu, że dawniej bywali ludzie tęższi — odpowiedział Powała — ale znajdą się i dziś chłopy krzepkie. Mnie Pan Jezus siły w kościach nie poskąpił, wszelako nie powiadam się najmocniejszym w tem królestwie. Widziałeś waść kiedy Zawiszę z Garbowa. Tenby mnie zmógł.

— Widziałem. Bary u niego tak szerokie, jak wał od krakowskiego dzwonu.

— A Dobko z Oleśnicy? Raz on na turnieju, który Krzyżacy w Toruniu wyprawili, rozciągnął dwunastu rycerzy, z wielką chwałą dla siebie i dla naszego narodu...

— Ale nasz Mazur, Staszko Ciołek, tęższy był panie i od was, i od Zawiszy i od Dobka — rzekł Mikołaj z Długolasu. Powiadali o nim, że wziąwszy w garść świeży kołek, sok z niego wyciskał [1]).

— Sok i ja wycisnę! — zawołał Zbyszko.

I nim go kto poprosił o próbę, skoczył na brzeg drogi, udarł sporą gałąź z drzewa, a następnie ścisnął ją za koniec w oczach księżnej i Danusi tak silnie, że sok począł istotnie kapać na drogę.

— Aj Jezu! — zawołała na ten widok Ofka z Jarzębowa — taki dzieciuch, a taki silny! To będzie kiedyś rycerz! Szkodaby cię chłopcze, żebyś zginął przedwcześnie...

— Szkodaby! — powtórzył zasępiwszy się nagle Maćko.

Lecz Mikołaj z Długolasu począł się śmiać, a z nim i księżna. Inni wszelako wychwalali w głos siłę Zbyszkową, że zaś w owych czasach żelazną rękę ceniono nad wszystkie inne przymioty, więc panny wołały na Danusię: »Raduj się!« a Zbyszko zapomniawszy

---

[1]) Historyczne.

całkiem o Krzyżaku, spoglądał tak górnie, iż Mikołaj z Długolasu, pragnąc przywieść go do pomiarkowania, rzekł:

— Jam tego nie widział, ale ojciec mój był świadkiem czegoś lepszego, co przygodziło się na dworze Karola, cesarza rzymskiego. Pojechał do niego w odwiedziny król Kazimierz z wielu dworzany, między którymi był właśnie i ów słynny z mocy Staszko Ciołek, syn wojewody Andrzeja. Pocznie się tedy raz chełpić cesarz, że ma między swoimi ludźmi pewnego Czecha, który niedźwiedzia wpół obłapiwszy, na miejscu go udusi. Dopieroż wyprawili widowisko, i Czech dwóch niedźwiedzi po kolei udusił. Bardzo się tem zafrasował nasz król, żeby ze wstydem nie odjechać i rzeknie: »Ale mój Ciołek nie da mu się pohańbić«. Naznaczyli, że za trzy dni będą się zmagać. Nazjeżdżało się pań i rycerzy znacznych, a po trzech dniach chycili się Czech z Ciołkiem na zamkowem dworzyszczu: ale niedługo tego było, bo ledwie się objęli, przełomił Ciołek Czechowi krzyż, pokruszył wszystkie żebra i dopiero nieżywego, z wielką chwałą królewską, z rąk wypuścił [1]). Tenże, przezwan od tej pory Łamignatem, raz dzwon wielki na wieżę sam jeden zaniósł, którego dwudziestu mieszczan z miejsca ruszyć nie mogło [2]).

— A ile mu było roków? — pytał Zbyszko.

— Młody był!

Tymczasem Powała, namyśliwszy się, postanowił powiedzieć księżnie od razu całą prawdę o Zbyszku i prosił ją, by go poparła, gdy będzie się wstawiał za chłopcem, który ciężko może za swój postępek odpowiadać. Księżna, której się Zbyszko podobał, przyjęła tę wiadomość ze smutkiem i zaniepokoiła się bardzo.

— Biskup krakowski rad mnie widzi — rzekł Powała — to może go uproszę i królowę też, ale im więcej będzie orędowników, tem będzie dla młodziaszka lepiej...

— Byle królowa się za nim ujęła, włos mu z głowy nie spadnie — rzekła Anna Danuta — bo król ją i za świątobliwość i za wiano czci wielce; ale jest przecie w Krakowie umiłowana siostra króla, księżna Ziemowitowa, do niej się udajcie. Ja też uczynię, co będę mogła, ale ona mu rodzona, a ja stryjeczna.

— Kocha król i Was, miłościwa pani.

— Ej, nie tak — odrzekła z pewnym smutkiem księżna — dla mnie ogniwko, dla niej cały łańcuch; dla mnie liszka, dla niej soból. Nikogo z rodzonych nie miłuje król tak, jak Aleksandrę. Niema takiego dnia, żeby z próżnemi rękoma odeszła...

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Krakowa. Gościniec, rojny od samego Tyńca, zaroił się jeszcze bardziej. Spotykali ziemian, ciągnących do miasta na czele pachołków, czasem w zbrojach, czasem w letnich szatach i słomianych kapeluszach. Niektórzy jechali konno, niektórzy koleśno, z żonami i córkami, które chciały widzieć zapowiadane z dawna gonitwy. Miejscami cały gościniec zawalony był przez wozy kupców, którym nie wolno było omijać Krakowa, by nie pozbawiać miasta licznych opłat. Wieziono na tych wozach sól,

[1]) Historyczne.
[2]) Historyczne.

wosk, zboża, ryby, skóry bydlęce, konopie, drzewo. Inne szły z miasta ładowane suknem, beczkami piwa i przeróżnym miejskim towarem. Kraków już widać było dobrze: ogrody królewskie, pańskie i mieszczańskie, otaczające zewsząd miasto, za nimi mury i wieże kościołów. Im było bliżej, tem ruch czynił się większy, a przy bramach trudno było wśród ogólnego skrzętu przejechać.

— To miasto! — Niemasz chyba takiego drugiego na świecie — rzekł Maćko...

— Zawsze jakoby jarmark — odrzekł jeden z rybałtów. — Dawnoście tu byli panie?

— Dawno. I dziwuję się, jakobym je pierwszy raz widział, gdyż z dalekich krajów przyjeżdżamy.

— Mówią, że Kraków okrutnie urósł od króla Jagiełły.

Była to prawda: od czasu wstąpienia na tron wielkiego księcia Litwy, niezmierzone kraje litewskie i ruskie otwarte zostały dla krakowskiego handlu, wskutek czego miasto z dnia na dzień porastało w ludność, w dostatki, w budowle — i czyniło się jednem ze znaczniejszych w świecie...

— Krzyżackie miasta też zacne — ozwał się znów gruby rybałt.

— By jeno się do nich dostać — odpowiedział Maćko. — Byłby łup godny!

Lecz Powała myślał o czem innem, mianowicie, że młody Zbyszko, który tylko przez głupią zapalczywość zawinił, idzie jednak jak wilkowi w gardziel. Pan z Taczewa, srogi i zawzięty w czasie wojny, miał jednak w swych potężnych piersiach prawdziwie gołębie serce — że zaś lepiej rozumiał od innych, co winowajcę czeka, więc zdjęła go nad nim litość...

— Waguję się i waguję — rzekł znów do księżny — czy mówić królowi, co się stało, czy nie mówić. Jeśli Krzyżak się nie poskarży, to i nijakiej sprawy nie będzie, ale jeśli się ma skarżyć, to możeby lepiej wszystko powiedziać, by pan nagłym gniewem nie zagorzał.

— Krzyżak jak może kogo zgubić, to zgubi — odrzekła księżna — ale ja przedtem rzekę młodzieńcowi, żeby do naszego dworu przystał. Może też król nie tak srodze dworzanina naszego ukarze...

To rzekłszy, zawołała Zbyszka, który dowiedziawszy się, o co idzie, zeskoczył z konia, podjął księżnę pod nogi i z największą radością zgodził się być jej dworzaninem, nietyle dla większego bezpieczeństwa, ile dlatego, żeby przy dworze pozostać.

Powała zaś spytał tymczasem Maćka:

— A gdzie zamieszkacie?

— W gospodzie.

— W gospodach od dawna niemasz żadnego miejsca.

— To pójdziem do kupca znajomka, Amyleja, może nas przenocuje...

— A ja wam powiem tak: pójdźcie w gościnę do mnie. Bratanek wasz mógłby z dworzany księżny na zamku zamieszkać, ale lepiej mu będzie nie być królowi pod ręką. Co się w pierwszym gniewie uczyni, tego się w drugim nie uczyni. Pewnie się przytem rozdzielicie dostatkiem, wozami, służbą, a na to potrzeba czasu. Wiecie, dobrze wam u mnie będzie i przezpiecznie.

Maćko, lubo zaniepokoił się trochę tem, że Powała tak o ich bezpieczeństwie myśli, podziękował z wielką wdzięcznością i wjechali do miasta. Lecz tu, obaj ze Zbyszkiem zapomnieli znów na chwilę o troskach na widok cudów, które ich otoczyły. Na Litwie i na pograniczu widzieli tylko pojedyncze zamki, a z miast znaczniejszych jedno Wilno — źle pobudowane i spalone, całe w popiele i gruzach, tu zaś kamienice kupieckie częstokroć okazalsze były od tamtejszego wielkoksiążęcego zamku. Wiele domów było wprawdzie drewnianych, ale i te dziwiły wyniosłością ścian i dachów, oraz oknami ze szklannych gomółek, pooprawianych w ołów, które odbijały tak blaski zachodzącego słońca, że można było mniemać, iż w domu jest pożar. W ulicach bliższych rynku pełno było jednak dworzyszcz z czerwonej cegły, albo zgoła kamiennych, wysokich, ozdobionych przystawkami i czarnem krzyżowaniem po ścianach. Stały jedne obok drugich, jak żołnierze w szyku, niektóre szerokie, drugie wązkie na dziewięć łokci, ale strzeliste, ze sklepionemi sieniami, często ze znakiem Bożej Męki lub obrazem Najświętszej Panny nad bramą. Były nawet ulice, na których widać było dwa szeregi domów, ponad niemi pas nieba, na dole drogę całkiem wymoszczoną kamieniami, a po obu bokach, jak okiem dojrzeć, składy i składy—sowite, pełne najprzedniejszych, częstokroć dziwnych, albo zupełnie nieznanych towarów, na które, przywykły do ciągłej wojny i do brania łupu Maćko spoglądał jednak nieco łakomem okiem.

Lecz jeszcze w większy podziw wprowadziły obydwóch gmachy publiczne: kościół Panny Maryi w Rynku, sukiennice, ratusz z olbrzymią piwnicą, w której sprzedawano dzinghus i piwo świdnickie, toż inne kościoły, toż składy sukna, toż budynek, w którym zamykano wagę miejską, toż postrzygalnie, łaźnie, topnie miedzi, topnie wosku, złota, srebra, słowem dostatki i bogactwa, których nieobyty z miastem człowiek, choćby zamożny właściciel »gródku«, wyobrazić sobie nawet nie umiał...

Powała zaprowadził Maćka i Zbyszka do swego domostwa przy ulicy Świętej Anny, kazał im dać obszerną izbę, polecił ich swym giermkom, sam zaś udał się na zamek, z którego wrócił na wieczerzę, dość późną nocą. Wraz z nim przybyło kilku jego przyjaciół — i używając obficie na winie i na mięsie, ucztowali wesoło, sam tylko gospodarz był jakiś zatroskany — a gdy wreszcie goście porozchodzili się do domów, rzekł do Maćka:

— Gadałem z jednym kanonikiem, biegłym w piśmie i prawie, któren powiada, że zniewaga posła, to sprawa gardłowa. Proście tedy Boga, by się Krzyżak nie skarżył...

Usłyszawszy to, obaj rycerze, lubo przy uczcie przebrali miarę, jednakże udali się na spoczynek nie z tak już wesołem sercem, Maćko nie mógł nawet zasnąć i po niejakim czasie, gdy się już pokładli, ozwał się do bratańca:

— Zbyszku?

— A co?

— Bo, tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako, że ci głowę utną.

(C. d. n.)

SPRAWY LUDOWE.

Podziękowanie. Niniejszem pismem składam Panu Danielakowi publiczne podziękowanie za wyratowanie mnie ze szponów żyda, który w niesłuszny sposób chciał wydrzeć odemnie kilkanaście koron w następujący sposób. Pewnego razu przyszedł do mnie ajent i tak mnie długo kusił, żem wreszcie zamówił u niego trzy beczułki wina pod tym warunkiem, że sobie próżne beczki zatrzymam. Za wino mu zapłaciłem w oznaczonym czasie i byłem pewny, że go zupełnie skwitowałem. Tymczasem się zawiodłem, ponieważ po pewnym czasie właściciel firmy pisze mi, żeby mu za próżne beczki zapłacić. Chociaż mu piszę, że mam ugodę pisemną z ajentem jednak nie pomogło i nawet mi groził przez adwokata, że mnie sądownie zmusi do zapłacenia. Byłbym się już wnet zdecydował zapłacić, bo myślę sobie pójść na termin sądowy do Pesztu lub zastępcę posłać, to byłoby pociągło za sobą znaczne koszta. Będąc jednak kilkuletnim czytelnikiem »Obrony ludu« i czytając nieraz różne porady dla ludu, podane przez Wnego Pana lub przez Wieleb. księdza Szpondra, przyszedłem i ja po rozum do głowy i udałem się do p. Dra Danielaka o poradę w tej sprawie, którą oczywiście otrzymałem zaraz pisemnie i podług niej zaraz też odpisałem do firmy i to dopiero skutek odniosło. Dziękując jeszcze raz Wnemu Panu Drowi, proszę o wydrukowanie tego podziękowania w gazetce dla nauki dla drugich, ażeby wszyscy unikali ajentów żydów, którzy nieraz umieją chrześcijan na lep jak ptaka uchwycić. *Jan Czader ze Starej Wsi.*

Kronika i rozmaitości.

Macierz Polska. Z powodu trzechsetnej rocznicy założenia miasta Żółkwi wydała Macierz w porozumieniu z Komitetem miejscowym książeczkę: O Żółkwi i jej dziedzicach Żółkiewskich i Sobieskich pióra Franciszka Jaworskiego. Publikacya ta ma więc znaczenie aktualne, ale wiadomości historyczne o siedzibie naszych bohaterów narodowych i o zasługach Żółkiewskich i Sobieskich nadają jej także trwalszą wartość. Bardzo ładne są ryciny: portret hetmana Żółkiewskiego, pomnik Żółkiewskich, widok Żółkwi w XVII wieku i pałac letni Jana III-go. Cena książeczki 10 hal.

Nr. 5 (na maj) „Przewodnika zdrowia“ (Czarnowski, Berlin, Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: Treść: 9-ty kongres międzynarodowy przeciw alkoholizmowi. — Jak otyłym ująć tuszy, a chudym dodać? — O żylakach, zapobieganiu im i ich leczeniu. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo. — Od wydawnictwa.

Na koszta zalesienia wydm piaszczystych, wyasygnował Wydział krajowy z subwencyi krajowej, przyznanej na ten cel następujące kredyty: Wydziałowi powiatowemu w Cieszanowie 800 k., w Jarosławiu 400 k., w Mościskach 600 k., w Sokalu 1500 k. i Tarnobrzegu 500 k. Zalesienie odbywa się pod nadzorem komisarzy inspekcyi leśnej, ustanowionych przez ministerstwo rolnictwa.

Radny miasta Limanowej, żyd, — który rżnie ludzi nożem na ulicy — nazywa się Saul Weinfeld. Nazwisko to podajemy dla pamięci ludu w powiecie limanowskim. — Pamiętajcie sobie; żydzi was rżną nożami, a wy mimo to, do żydów chodzicie, u nich pijecie, u nich zostawiacie grosz.

Ruch jako środek uzdrawiający. Sułtan radził się swego lekarza w niebezpiecznej chorobie. Lekarz, widząc, iż tylko świeże powietrze i ruch fizyczny jest potrzebny, i wiedząc jednocześnie, jak mało świat ceni proste środki, rzekł: „Oto jest piłka, którą wypchałem rzadkiemi a cennemi ziołami. Wasza wysokość niech weźmie ten kij i bije piłkę dopóty, dopóki nie będzie czuł, że jest porządnie spocony. Czynić to należy codzień“. Sułtan usłuchał rady i wyzdrowiał, nie przypuszczając, iż lekarstwem był tylko ruch.

Z żebraka bogacz. Przed paru dniami żandarm patrolujący na gruntach Olszy pod Krakowem zaaresztował jakiegoś nędzarza, który przedstawiał swoją osobą największy obraz nędzy, tak był zmizerowany, obdarty i brudny. W tutejszym urzędzie policyjnym, gdzie go żandarm odstawił, aresztowany nędzarz zeznał, że nazywa się Franciszek Ćwikota, rodem jest z Valacs w komitacie Św. Marcin Turczański. Osobliwy ten Słowak, który wywędrował z kraju przed dość dawnym czasem i tułał się po świecie, jest grajkiem-skrzypkiem i oprócz ojczystego włada językami: polskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim i żydowskim żargonem. Za włóczęgostwo skazany został Ćwikota na 3 dni, które odsiedział w areszcie gminnym. Przez ten czas tutejsza policya zwróciła się do Valacs, gminy, skąd pochodzi Ćwikota o informacye i szczegóły co do osoby włóczęgi. Odpowiedź stamtąd przyszła zdumiewająca. Oto gmina Valacs oddawna poszukiwała Franciszka Cwikotę, gdyż ten jest spadkobiercą 80.000 rubli, które zostawił mu jego zmarły brat. Skąd ten brat przyszedł do tak znacznego majątku i dlaczego przedtem nie dbał o brata, pozwalając mu tułać się po świecie, niewiadomo — faktem jednak jest, że wczorajszy jeszcze nędzarz-skrzypek-włóczęga, dzisiaj jest bogaczem i do miejscowości wspomnianej udaje się z lepszą miną, niż wychodził z niej przed laty. Fortuna jest ślepą, a szczęście kołem się toczy.

Pożar Biecza. Spaliło się kilkadziesiąt domów, nie licząc przybudowań, z któremi ofiarą pożogi padło przeszło 100 zabudowań. Rynek spalił się doszczętnie w dwóch częściach, w linii wzdłuż urzędu podatkowego, a wszerz od apteki, a na samym środku rynku stał ratusz, w którym był umieszczony sąd powiatowy i tabula. Na ratuszu była wieża, wysoka na kilkanaście pięter, ale ząb czasu zniszczył kilka pięter, a pozostałych sześć pięter, do których prowadziły schody drewniane do szczytu, spaliły się wewnątrz i pozostały tylko gołe ściany, przypominające czasy napadów szwedzkich, które to mury lada chwila grozić mogą runięciem i spowodować wielkie spustoszenie.

Około 50 domów było ubezpieczonych w krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń na 150.000 koron, kilka domów w innych Towarzystwach asekuracyjnych, reszta zaś wcale nie była ubezpieczoną. Ogółem szkodę, wyrządzoną przez pożar w ruchomościach i nieruchomościach oceniają na 250—300 tysięcy koron, a może nawet wyżej. Około 300 rodzin a 1200 —1500 głów pozostało bez dachu i chleba. Wiele osób zdołało ledwie ujść z życiem, nie wyratowawszy kompletnie nic ze swego mienia. Wszystkie prawie spalone domy z wyjątkiem kilku domostw murowanych w Rynku, wszystkie budynki były drewniane — to też pożar przy dość silnym wichrze, szerzył się z taką gwałtownością, iż o dostępie do palących się równocześnie kilkudziesięciu domów mowy nawet być nie mogło. Stąd też bardzo mało ruchomości zdołano wyratować. Dwie

nauczycielki, pp K. i P., zostały literalnie tylko w tem, w czem poszły do szkoły. Podobno któryś z lekarzy zdołał ujść z pożaru tylko z jedną książką pod pachą. Takich wypadków było mnóstwo — to też nędza wśród pogorzelców jest straszna. Wiele osób z pomiędzy rzemieślników i kupców było na targu w poblizkich Gorlicach, tak, że nawet dobytku swego ratować nie mogły, a po powrocie zastały wszystko w gruzach. I życie ludzkie stało się ofiarą pożaru: mieszczanina bieckiego, niejakiego Mazurka, czy Mazurskiego, znaleziono w piwnicy własnego domu, przysypanego gruzami i uduszonego. Mnóstwo też osób uległo poparzeniu.

Traba powietrzna ukazała się 15-go w Zakopanem. Wir powietrzny z dość silnym szumem rwał w górę wióra, odpadki, liście, a napotkawszy przechodzącą ścieżką tęgą, ośmnastoletnią dziewczynę góralską, uniósł ją w górę — jak zapewniają świadkowie wypadku — blizko na metr wysoko. Dziewczyna upadła po chwili, potłukła się dość silnie, ale więcej jeszcze przeraziła się, bo powszechnie lud, widząc taki wir powietrzny, mówi, iż w tem miejscu dyabli harce wyprawiają, a ona myślała, iż ją jeden z „kosmatych“ chce porwać ze sobą.

Szalone przedsięwzięcie. Wodospady Niagary nie tracą siły przyciągającej dla ludzi, zdolnych do szalonych czynów, a oto nowy przykład. Otton Petersen, prezes „Duńskiego klubu atletów“, postanowił przebyć wodospady Niagary przy pomocy zawieszonej liny. Nie będzie on wszakże po niej chodził, lecz zawiesi się on na niej zębami, i tak będzie się posuwał; nie na tem koniec wszakże. Na uprzęży skórzanej, którą założy na szyję, nieść będzie człowieka własnej wagi. Przyrząd zaś, przy którego pomocy Petersen zamierza wykonać swój eksperyment, składa się z liny drucianej, grubości $^3/_4$ cala, małego koła z najlepszej stali oraz rzemienia skórzanego; tego to rzemienia uczepi się Petersen zębami. Około 20 członków klubu oświadczyło gotowość towarzyszenia Petersenowi w wyprawie, a on wybrał z pośród nich Piotra Gabarga, jednego z najgłośniejszych atletów duńskich. Petersen jest przekonany, że w sześć minut przebędzie wodospady. Towarzystwa kolejowe przygotują specyalne pociągi na to widowisko, które niechybnie ściągnie jeszcze większe tłumy ludzi, niż swego czasu kapitan Webb, który życiem przypłacił chęć przepłynięcia wodospadów Niagary.

Straszny kamień grobowy. Na cmentarzu w Debreczynie postawiono niedawno kamień grobowy z napisem następującym: „Tu spoczywają w Panu: Józef Moricz starszy, zmarły w 62 roku życia, zastrzelony przez córkę; Elżbieta Moricz, zmarła w 17 roku życia — popełniła samobójstwo, zabiwszy matkę; Józef Moricz młodszy, zmarły w 27 roku życia w więzieniu — zastrzelił ojca. Niech Bóg miłosierny zlituje się nad duszami ich biednemi“. Jak „Pester Lloyd“ dodaje, ów Józef Moricz młodszy nie był synem starszego, lecz jego bratankiem.

Niespodzianka w testamencie. W Argentynie zmarł niedawno pustelnik Colas, który od 40-tu lat zamieszkiwał mały domek na skrawku ziemi, który sam uprawiał. Powszechnie uważano go za ubogiego, wydawał bowiem na siebie nie więcej jak pół korony dziennie, sam sobie strawę przyrządzał i ubierał się jak żebrak. Mówiono wprawdzie o nim, że niegdyś był bogatym, miał piękną żonę i że zdradzony przez nią stał się odludkiem, dziwakiem, jednakże ogromne zdumienie ogarnęło wszystkich, gdy po śmierci Colasa znaleziono w jego chatce milion koron w papierach państwowych i testament, którym 700.000 koron zapisał na szpital w Argenteuil, resztę zaś jakimś dalekim krewnym.

Z targów zbożowych. Kraków, d. 19 maja 1903. Płacono za 100 klgr. netto Pszenica od 15·70 do 16·10; — Żyto od 13·— do 14·—; Jęczmień od 11·80 do 12·20; — Owies z opłatą akcyzową od 13·60 do 14·—; — Groch od 16·50 do 24·50; — Tatarka od 13·50 do 14·80; — Proso od 11·— do 13·—; — Fasola od 18·— do 26·50; — Jagły od 18 — do 22·—; Siano od 5·20 do 6·—; — Słoma od 3·60 do 4·—; — Koniczyna na paszę od 6·— do 6·40; — Ziemniaki za hektolitr od 3·20 do 4·— — Jaja za kopę od 2·30 do 2·60; — Masła za kilogr. od 2·— do 2·20; Kukurudza za 100 kilogr. od —·— o 14·60; Wszystko liczono w koronach.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. S. Małkowski. Prenumeratę otrzymaliśmy.

P. J. Pucher. Odebraliśmy pieniądze i serdecznie pozdrawiamy Pana.

P. P. Kasperek. Pieniądze odebrane, pomyłka poprawiona.

P. W. Stempak. Z największą chęcią posłalibyśmy brakujący numer, lecz nie możemy tego zrobić bo został wyczerpany.

P. W. Kijowski. Wysłane pieniądze odebraliśmy, prosimy o podanie nam poprzedniego adresu.

P. P. Koza. Pieniądze na gazetę otrzymaliśmy.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawcy i właściciele: Ks. Andrzej Szponder i Dr Michał Danielak. — Redaktor odpowiedzialny: Władysław Jaśko.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.